

AGENCJA Biedermann i podpalacze
GLOB
 PRASOWO-INFORMACYJNA

„GLOB”
 SPÓŁDZIELNIA PRACY

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
 tel. 13 42 34 tel./fax 13 44 95

DZIENNIK POLSKI
 31-072 KRAKÓW
 ul. Wielopole 1
 Nr 241 15 dn. 10-97

Środa 15 października 1997

DZIENNIK POLSKI

25

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

665 Kondycja naszej plasteliny

Kultura

Z biegiem lat i premier, wolno lecz zauważalnie, w stosunkach naszych z teatrem Mikołaja Grabowskiego nastawać zaczęła harmonia. Rozumieliśmy się w ciemno. My, Polacy obarczeni kolosalnym ciężarem haniebnych wad narodowych, już przed pierwszą kurtyną, by później nie szeleścić bielizną, kładliśmy nasze pupy na szczerze otwartych dłoniach. On zaś sięgał po bat. On – surowy ojciec, rodak bezkompromisowy, demaskator i pryncypalista, artysta opętany patriotyczną szczerością – brał nas do galopu. Rozpoczął kolejne ogólnonarodowe łojenie. Na okoliczność naszych wad, biczował nas na odlew, byśmy się opamiętali. Za alkoholizm i wszystkoizm, za ciemnotę i niemotę, za dewocję i rozpustę. Za wszystko, proszę ja was. To właściwie nie był teatr. To był krwawy salon czywistości. Nazajutrz zaś zaczynało się pospolite nadwiślańskie lizanie ran. Byłe do wnośny... Do następnego Słobodzianka, Kitowicza bądź Gombrowicza, kiedy to Grabowski znowu zmieni nas w mroczne plemię wyznawców Sacher-Masocha. No tak, niechybnie jesteśmy już profesjonalistami. Gdy zatem nadszedł dzień premiery „Biedermann i podpalacze” Maksa Frischa – stawiliśmy się zwarci i gotowi.

A tu naraz jakaś dyskrekcja sączy się ze sceny. Masz ci los! My tu z zagojonymi pupami na szczerze wyciągniętych dłoniach – a tam nic. Brak odzewu. Brak bata. Kata również brak. Kat nie kroczy po scenie i nie gra na saksofonie. Nie rozdaje wódki. My tutaj, wedle umowy, przygotowani na nowe jat-

ki, a tam – teatr. Spektakl się rodzi, czyli kawałek życia narasta, okruczeństwo czegoś, co nigdy nie jest rozpięte na ulubionych naszych czywistościach. Na domiar zdziwienia Grabowski oddaje przedstawienie w nasze ręce. Nie stawia też i ich nie udowadnia. Zostajemy jak te sieroty, z majaczącym nad nami potwornym widmem samodzielności. Nietknięte pupy lądują w kieszeniach. Na scenie mieszczański salonik. Pan Biedermann siedzi w fotelu. Dziwny jegomość. Nie dość, że pali cygaro, to na dodatek nie jest Polakiem. Nigdy panu tego nie wybaczymy, panie Grabowski...

W mieście wybuchają pożary. Coraz ich więcej. Narasta powszechna panika, strach ma oczy z każdym dniem większe. Już nikt nikomu nie wierzy, każdy dla każdego jest podpalaczem. Drzwi i okna zamykane są szczelnie i na amen. A ludzie zmieniają się w to, czym są w istocie – w indywidualia o konsystencji ciepłej plasteliny. Rzecz w tym, że w sytuacjach granicznych plastelina jest lepsza od twardego kręgosłupa. Zawsze można sobie ulepić z niej jakąś formę przeżycia.

Pan Biedermann jest więc miękki i lepki. Coraz miękniejszy i bardziej lepki. Mariusz Wojciechowski gra to bezbłędnie. Już pierwsza scena jest godna zapamiętania. Plastelina pali cygaro! Nie inaczej z Babette, żoną Biedermann, w wydaniu Iwony Bielskiej. Miękka i lepka *diva* mieszczańskich saloników. Plastelinowa kwoka w papilotach! I jeszcze coś. Gdy przyjdą oni, miękkie ludziki wciąż będą gdzieś uciekać z oczami.

Oni zaś – to zupełnie inna rasa. Rzecz jasna – są podpalaczami. Ale to okaże się jasne dopiero przy końcu. Jak i to, że w istocie są diabłami. Przyjdą i poproszą o gościnę na strychu. O gościnę dla nich i dla ich beczek z benzyną. Ulepią... nie. Pozwolą, by Biedermannowie sami się ulepiłi wedle stopnia gęstości własnych strachów. Oni – podpalacze – będą tylko pretekstem. I plasteliny się ulepią w piękny pomnik ludzkich złudzeń. Będą sami siebie zwodzić, okłamywać, wyprowadzać w pole. A wszystko dlatego, że nie są zdolni spojrzeć prawdzie w oczy. Trudno będzie im pojąć, że koniec dotyczy również ich. We wspaniałej scenie, kiedy to piekło zasiądzie do stołu ze zmienioną w szmaty ludzką plasteliną, by wspólnie delektować się pieczoną gęsą – nie uwierzą nawet w prawdę, podaną przez piekło, jak na dłoni. Plasteliny wezmą prawdę za kolejny żart miłych gości. I pożyczą im zapalki.

A goście są rzeczywiście mili. Jak każde profesjonalne zło. Schmitz i Eisenring, łagodność dziecka biednych węglarzy i wirtuozeria byłego kelnera. Maciej Jackowski i Zbigniew Ruciński, rola bardzo dobra i wyśmienita rola. Tak właśnie – Ruciński jest wyśmienity. Mając do ukrycia zło niebanalne, zagrał byłego kelnera niebanalnego. A kelner niebanalny zawsze polega na tym, że oficjalnie gra kelnera banalnego. Wie, że musi być mały, żeby siedzące przy stoliku życie poczuło się duże. Pan Biedermann poczuł się duży. Plastelina uwierzyła we własną twardość. Nie chodzi bowiem tylko o to, by zabawić się ze światem, jak

kot z myszą. Rzecz w tym, aby się to światu spodobało.

Słowem – bardzo profesjonalny kwartet, z jednym wspaniałym skrzypkiem. A do tego w dyskretnych, czystych i bardzo sensownych dekoracjach Krzysztofa Tyszkiewicza. Nade wszystko zaś – spektakl spowity w delikatną siateczkę nieoznaczoności. Czyli wracamy do Grabowskiego. Więc jednak można nie wymachiwać monstrualnymi tezami i można ich nie podierać dowodami równie monstrualnymi. Więc można przestać wymachiwać czywistościami i tłuć nas po łbach banałami nie z tej ziemi. Więc można odrzucić idiotyczną maskę zapiekłego demaskatora polskości i żalosny profil jedyne sumienia Polan. Więc można nie naprawiać świata i można wzgardzić zawsze śmieszoną teatralną publicystyką. Więc można zrobić spektakl dla pierwszej osoby liczby pojedynczej. Można.

W jakiej kondycji jest moralny relatywizm dziś? Jak daleko sięga nasza przyrodzona umiejętność robienia z siebie – wobec zła – ludzi bez właściwości? To pozostaje zamiast wychłostanego tyłka. Pytania dla ciebie – i tylko dla ciebie. Jak tylko i wyłącznie twoją sprawą jest, czy w ogóle oraz jak sobie na nie odpowiesz. Poza tobą – nikogo to nie obchodzi. Oto prawdziwy teatr, jak go rozumiem. Wspólne pytanie, ale prywatna odpowiedź. Gdy Mikołaj Grabowski przestaje wymachiwać biczem, człowiekowi zachciewa się żyć. Czyli myśleć.

PAWEŁ GŁOWACKI